



STANISŁAW MARCINKIEWICZ

Warszawa, 27 listopada 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, sędzia Halina Wereńko, przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Uprowadzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Stanisław Marcinkiewicz
Imiona rodziców	Andrzej i Antonina z d. Niezabitowska
Data urodzenia	15 kwietnia 1900 r. w Warszawie
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	Drewnica, poczta Ząbki
Przynależność państwowa i narodowość	polska
Wykształcenie	średnie i 2-letni Instytut Pedagogiczny
Zawód	kierownik bursy Towarzystwa Dobroczynności w Drewnicy

W czasie powstania warszawskiego przebywałem jako kierownik w zakładzie dla chłopców sierot Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przy ulicy Freta 10 w Warszawie.

Około 6 sierpnia 1944 roku w dużej sali przylegającej do kościoła św. Jacka i w piwnicach pod internatem Kronenberga, w salach przedszkola przyległych do korytarza, w kapitularni, w kościele św. Jacka i w lochach pod prezbiterium został zorganizowany szpital dla rannych powstańców i ludności cywilnej.

Dokładnej liczby rannych nie umiem podać. Wiem, iż leżeli ciasno jeden przy drugim, umierało dziennie po kilkudziesięciu, a wciąż napływali nowi. 1 września około 17.00 oddziały

niemieckie zajęły dom na rogu ulicy Starej i Nowego Miasta, mieszkańców wyrzucili, dom podpalili. Widziałem to z podwórka zakładu. W nocy z 1 na 2 września powstańcy opuścili nasz teren. Rano od strony Nowego Miasta wkroczyły oddziały Niemców. Tego dnia około 7.30 eskadra samolotów niemieckich zrzuciła ulotki, wzywające ludność do opuszczenia dzielnicy do godziny 8.00 pod sankcją zrównania z ziemią Starego Miasta. Ulotkę czytałem. Około godziny 8.00 czy 9.00 na teren posesji Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności wkroczyli Niemcy, wydając rozkaz opuszczenia domu (*raus*). Widziałem, jak wychodziły dzieci z siostrami szarytkami wyjściem wychodzącym na ulicę Starą bliżej ul. Mostowej. Razem z pracownikiem zakładu Franciszkiem Wrzoskiem (zatrudnionym obecnie w Drewnicy w zakładzie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności), ukryłem się w wykopanym uprzednio przez nas schronie pod salą jasełkową przylegającą do ulicy Starej. Pozostał również, jak się później dowiedziałem, wychowanek zakładu Kazimierz Ubysz, który ukrył się w schronie wykopanym w ogródku internatu. W schronie przebywałem razem z Wrzoskiem 14 dni. W ciągu pierwszego tygodnia słyszałem co dzień jęki i krzyki po polsku znacznej liczby osób (jak sądzę kobiet i dzieci) oraz głosy męskie krzyczące po niemiecku, jakby uśmierzające jęki, dochodzące do mnie wyraźnie od strony ulicy Starej przez cienki mur budynku. W tym czasie słychać było stale odgłosy strzałów – silniejsze i słabsze – od strony ulicy Starej.

Po powrocie do Warszawy w dniu 18 stycznia 1945 roku po przybyciu na teren Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, widziałem na jezdni ul. Starej leżące jeden przy drugim materace na odcinku od końca sali jasełkowej prawie do rogu ulicy Mostowej. Na niektórych materacach były widoczne ślady krwi i kul (kalibru nie można stwierdzić).

2 września przed południem gwar ucichł, sądziłem, iż egzekucja skończyła się. Tymczasem około południa usłyszałem jęki i rozdzierające krzyki od strony podwórza naszej posesji. W obawie o los sierot, wychowanków naszego zakładu, opuściłem kryjówkę i ukryty za gruzami w rogu sali jasełkowej, przylegającym do rogu bramy wychodzącej na ulicę Starej, wyjrzałem na podwórze. Zobaczyłem przez rurę, leżącą pomiędzy gruzami, w odległości około 15 metrów pomiędzy figurą Matki Boskiej a budynkiem zakładu przylegającym do pierwszej bramy wychodzącej na ulicę Starą płomień.

Jaki materiał płonął, nie wiem. Rozróżniłem w płomieniach około 12 rannych leżących na ziemi, kilku na noszach. Ranni, płonąc, rzucali się i wydawali jęki, które właśnie wywabiały

mnie ze schronu. Widziałem, jak pomiędzy nimi uwijali się SS-mani (rozpoznałem mundury) i jak oblali jakimś płynem kilku rannych nie objętych płomieniami i, jak potem leżących podpalili. Wycofałem się do swego schronu. Jęki rozdzierające słyszałem dość długo, czasu nie umiem podać i z całą pewnością nie mogę stwierdzić, skąd dochodziły. Budynki zakładu płonęły, słyszałem odgłosy pożaru zaraz po wkroczeniu Niemców. Więcej tego dnia ze schronu nie wychodziłem. Wejście do schronu było zamaskowane, tego dnia i następnych słyszałem, jak ponad nami rozlegały się kroki w ciężkich butach, [jednak] Niemcy schronu nie odkryli. 12 września przybył do naszego schronu Kazimierz Ubysz. Idąc do nas ze schronu w ogródku internatu, przechodził przez hall, gdzie mieścił się szpital i korytarz koło kaplicy. 15 września, korzystając z nalotu samolotów radzieckich, w czasie którego, jak słusznie sądziłem, Niemcy pochowają się, razem z Wrzoskiem i Ubyszem przeszliśmy do piwnicy pod salą jasełkową, gdzie mieściły się łazienki. 20 października patrol niemiecki wyprowadził nas z piwnicy na podwórze. Zobaczyłem na terenie boiska rozrzucone pojedynczo ciała mężczyzn ze śladami krwi i postrzałów. Niemcy okazali nam zwłoki, mówiąc, iż taki los nas czeka, że są to trupy osób ukrywających się po ewakuacji. Złożyłem żołnierzom niemieckim niezgodne z prawdą wyjaśnienie, iż wraz z towarzyszami byliśmy przysypani gruzami pod kościołem świętego Jacka, że wygrzebaliśmy się spod gruzów już po ewakuacji. Zaprowadzili nas do komendantury stacjonującej przy ulicy Bielańskiej róg Tłomackiego, skąd odesłano nas do kościoła świętego Wojciecha na Woli. Eskortował nas na Wolę żołnierz niemiecki z Wehrmachtu jadący wozem. Będąc wyczerpanym do ostatnich granic (w piwnicy piliśmy wodę pozostałą po kąpieli wychowanków sprzed powstania, jedliśmy surowy groch i kaszę), oparłem się ręką o drabinę wozu, wówczas żołnierz wymierzył mi cios kolbą, powodując zranienie prawej ręki. (Świadek okazuje bliznę). Z kościoła świętego Wojciecha wysłano nas na Dworzec Zachodni, jednakże udało nam się zbiec i dojechać na własną rękę do Grodziska, omijając obóz przejściowy w Pruszkowie.

Po powrocie do Warszawy 18 stycznia 1945 roku widziałem w hallu, gdzie leżeli ranni, w budynku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności stosy popiołów obok wyjścia do kapitularda i w kapitulardzie. Niedaleko wyjścia na ulicę Starą w hallu widziałem kości ludzkie, czaszki. W piwnicy pod internatem Kronenberga składającej się z trzech izb, widziałem w dwóch pierwszych izbach, idąc od ulicy Starej, kości i nadpalone szczątki ludzkie, w trzeciej izbie zwłoki w pozycji stojącej, kilka ze śladami postrzałów w stanie rozkładu. Razem było kilkanaście trupów, nie licząc szczątków. Były to zwłoki rannych, niektórych

z nich rozpoznałem, znając ich z widzenia z sierpnia 1944, kiedy to ja i moi wychowankowie roznosiliśmy im herbatę i wodę.

W tym czasie, na początku 1945 roku, widziałem w budynkach przy kościele Najświętszej Marii Panny przy ulicy Przyrynek w piwnicach budynku zakładu dla starców i kalek pod zarządem sióstr szarytek, niedopalone zwłoki starszych osób, przeważnie kobiet.

Liczby zwłok nie mogę określić, było ich dużo.

Przełożona sióstr szarytek przebywa obecnie w zakładzie przy ulicy Tamka 35 w Warszawie.

Na tym protokół zakończono i odczytano.